Nr. 35. We Lwowie, Poniedziałek dnia 1. września. 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Z pamiętników Hausmanna.

I.

Przed laty dwudziestu znany powszechnie pod mianem „wielkiego barona" władał samowolnie w Paryżu, burząc całe dzielnice miasta, by je zaludnić pałacami. Dziś jest ośmdziesięcioletnim starcem i wydaje swe pamiętniki. Dotychczas opuściły prasy drukarskie dwa spore tomy, nie wyczerpująee bynajmniej całości wspomnień tego ruchliwego pracownika. Założyciel nowego Paryża, przeszedł wiele w swem życiu i wiele ma do opowiedzenia. Dzieło przez niego dokonane zalicza się słusznie do olbrzymich prac naszego wieku. Despotyczny. lecz świadomy swych celów niszczył zabytki średniowieczne, by wytknąć nowe linie dla światowej metropolii. Dla autora są też te pamiętniki rodzajem obrony. Żaden bowiem z mężów drugiego cesarstwa nie doznał tylu napaści, co Hausmann. Żaden też nie pozostawił po sobie równie chlubnego wspomnienia. Hausmann jest również jedynym z doradców Napoleona III, którego prace przeżyły upadek drugiego cesarstwa. Dawniejsi jego przeciwnicy, jak Jules Simon występują dziś w obronie tego człowieka. Nawet obecna, tak radykalna rada municypalna Paryża, dążąca z nieustanną gorliwością do zatarcia wszelkich śladów po Napoleonidach, nie odważyła się ruszyć z miejsca małej, blaszanej tablicy z bulwaru Hausmanna, by zastąpić ją inną o odmiennym tytule. Republikanie poczuwają się do obowiązku uszanowania wobec starego, cesarskiego prefekta. Na to wpłynęła też głównie nieskazitelność Hausmanna, jako urzędnika. W dniu 28 lipca 1853 roku zajął apartament w ratuszu i opuścił takowy w dniu 1. stycznia 1870 r. — równie ubogim jak był poprzednio.

W przeciągu swego urzędowania zburzył 30.000 domów, zbudował nowych 120.000 delożował 120 000 rodzin, ściągnął do Paryża 50.000 przybyszów. Wydał na nowe budowle $2^1/_2$ miliarda franków a mimo to całym jego dochodem jest emerytura byłego prefekta w sumie 6.000 franków rocznie. Uczucie dumy i żalu przenika go — jak mówi—gdy przesuwa się przez wspaniałe dzielnice Paryża wspominając o trudach i troskach, które kosztowała go ta budowa. „Miasto używać dobrze zasłużonego spokoju, muszę walczyć o byt od lat dwudziestu. A trudną jest ta walka, gdy się przekroczy osiemdziesiątkę". Skarga ta jest najwymowniejszą apologią zasłużonego starca.

Wysokie swe stanowisko zawdzięczał Hausmann nie łasce monarszej, lecz latom służby. W roku 1853 był najstarszym rangą prefektem i dzięki temu nazwisko jego znalazło się na czele listy służbowej, przedłożonej Napoleonowi po opróżnieniu posady prefekta Sekwany. Mianując go na to stanowisko, pozyskał sobie książe-prezydent zdolnego współpracownika w zrealizowaniu swych planów przebudowania Paryża, na które najbliżej wtajemniczeni powiernicy Napoleona patrzyli z źle ukrywanem niedowierzaniem. Poprzednikiem Hausmanna w hotelu *de Ville* był staruszek Berger, który gdyby troskliwy ojciec rodziny zawiadywał swą gminą z oszczędnością prawdziwie patryarchalną. Był to *bourgeois* czystej krwi podobnie jak 36 członków municypalności, mianowanych przez cesarza, lecz mimoto z gruntu przeciwnych wszelkim innowacyom. Konflikt między Tuilleryami a hotelem *de Ville* wybuchł już przy uchwaleniu budowy wielkich hall targowych. Cesarz był zdania, że należy zbudować je z żelaza, podczas gdy prefekt upierał się przy budowie z kamienia. Wobec tego konieczną okazała się nominacya nowego prefekta w osobie Hausmanna. Wybór był bardzo szczęśliwym. Czytając te pamiętniki, nie można się powstrzymać mimochodem od zrobienia następującej uwagi: autor, jakkolwiek nie zbywa mu na poczuciu samodzielności, z rzadką skrupulatnością oddaje słuszność pomysłom swego pana Napoleon zwykł był sam kreślić zarysy planów; jego pomysłem było zakładanie parków, posunięcie linji cłowej aż po fortyfikacye. Jednem słowem, cesarz był autorem, zaś Hausmann najgorliwszym wykonawcą jego planów. Co prawda, wykonawca ten był jenialnym i wyposażonym w nadzwyczajne atrybucye władzy. Stał na równi z ministrami, uczestniczył w ich obradach, w naradach senatu i słusznie — jak to Thiers wyraził się z trybuny — zasłużył na miano zastępcy cesarza. Wysoki, barczysty, ala tego też nazwany *le grand baron*, z twarzą gładko wygoloną, rumianą, okoloną zarostem *collier*, o bystrym wzroku był uosobieniem energii i sprytu. Rodzina Hausmanna pochodziła z Alzacyi. Ojciec jego ujrzał światło dzienne w Kolmarze, podczas gdy „wielki baron" urodził się w Paryżu. Rodzina jego z dawien dawna była wyznania protestanckiego, on sam ożenił się w Bordeaux z Szwajcarką, panną Laharpe, kalwinką. Ojciec barona pozostawał w służbie Napoleona I. książe Eugeniusz był ojcem chrzestnym jego syna. Młody Hausmann krztałcił się w lyceum, następnie studyował prawo, co mu nie przeszkodziło brać czynny udział w wypadkach lipcowych. Był nawet rannym przy tej sposobności.

W roku 1831 jako dwudziestodwuletni młodzieniec zamianowany został sekretarzem przy

prefekturze w Poitiers, był następnie w kilku miejscowościach podprefektem, w roku 1848 prefektem w departamencie Var. Na tem stanowisku znalazł dobrą sposobność do spożytkowania swej niezwykłej energii. Z chwilą proklamacyi prezydentury księcia Ludwika Napoleona przejrzał jasno sytuacyę, dążąc nieugięcie do przygotowania terenu dla cesarstwa. Żaden z prefektów nie potrafił zręczniej przygotować swego departamentu do monarchizmu. Przeniesiony do Auxerre, przyjmował tu księcia-prezydenta, za którym na każdym kroku grzmiały okrzyki: niech żyje cesarz!.. Książe zanotował sobie w pamięci nazwisko gorliwego monarchisty i niebawem powierzył mu jedno z najtrudniejszych stanowisk: prefekturę w Bordeaux.

Mimo to nie był przypuszczony Hausmann do tajemnicy zamachu stanu. Nie wiedząc o niczem zgoła, przybył w dniu 1. grudnia 1851 z Auxerre do Paryża, chcąc się przedstawić ministrowi spraw wewnętrznych panu de Thorigny przed objęciem swej nowej posady. Nie zastawszy go w biurach, udał się do pałacu elizejskiego, gdzie odbywało się przyjęcie u prezydenta. Zaledwo go zoczył książe, gdy zbliżywszy się do niego zalecił mu jak najspieszniejszy wyjazd do Bordeaux. Po instrukcye kazał mu zgłosić się przed świtem do ministra. Tym o świcie był już hrabia de Morny. Nastąpił krótki egzamin przekonań politycznych prefekta. Proklamacya — rozwiązanie izby — aresztowanie deputowanych — wszystkie te wieści nie zdołały zaniepokoić nowo przybyłego. Wówczas dopiero oświadczył mu de Morny, że rząd wysyła go do Bordeaux nie jako zwykłego prefekta, lecz w charakterze nadzwyczajnego komisarza z pełnomocnictwem nader obszernem, gdyż komendantem w tem mieście był jenerał-orleanista. „Teraz dowiedziałem się, o co właściwie chodzi“ — dodaje autor.

Wieczorem jechał już Hausmann do Bordeaux i zaraz po przybyciu wpadł gdyby bomba między zgromadzonych reprezentantów władzy, zamierzających stawić opór zamachowi stanu. Między zgromadzonymi był oczywiście ów jenerał-orleanista. Energiczne wystąpienie nowego prefekta, imponująca jego postawa i potężny organ, przeraziły do tego stopnia zebranych, iż miasto aresztowania intruza — rozeszli się spokojnie do domów. Burzliwe Bordeaux uspokoiło się nadspodziewanie szybko i ztąd też wydał Ludwik Napoleon znane orędzie: Cesarstwo to pokój!...

Po proklamacyi cesarstwa Hausmann był przekonany, że przepędzi dalszą karyerę urzędową w Bordeaux. Wezwanie do Paryża przekonało go, iż się mylił w swych rachubach. Zrazu odmówił przyjęcia prefektury policyi w Paryżu — niechciał porzucać Bordeaux. Dopiero rozkaz formalny zniewolił go do tego kroku. Wyczytawszy w *Monitorze* własną nominacyę na prefekta departamentu Sekwany musiał ulec. Liczył wówczas lat 45, gdy wybierał się na „zdobycie starego Paryża“ i dokonał zwycięzko swego zadania. Cesarz potrzebował tylko objawić swą wolę — on ją w lot wykonywał. Żelazna konstrukcya hall paryskich, uważana za niemożliwą, była pierwszą probą jego działalności na słonecznym bruku. Czerwona kreska, naznaczona przez Napoleona na planie miasta, przeobrażała się niebawem dzięki energii Hausmanna w ulicę, otoczoną wspaniałymi gmachami. Można nie godzić się na polityczne teorye tego człowieka, które niejednokrotnie rażą cynizmem, lecz uznać w nim należy pierwszorzędną zdolność administracyjną. W swoim zawodzie był mistrzem.

Co może miłość.

OBRAZEK.

Nudził się na zabój w tem nędznem kąpielowem miasteczku, gdzie go wysłano z powodu nerwowo reumatycznych cierpień, nabytych kiedyś tam przed laty.

Nieznał tutaj nikogo i nie szukał nowych znajomości. Nie pokazywał się na „deptaku“, nie uczęszczał na koncerta chłopskiej kapeli... nawet na przedstawienie amatorskie, urządzone na korzyść ubogich, nie zdołał go lekarz kąpielowy wywabić.

Zapłacił za bilet i nie poszedł.

Zdawał się tylko wyłącznie kuracją zajęty. Przez cały czas swego pobytu nie opuścił jednej kąpieli, ni jednego masażu. Co dzień z rana i w wieczór chodził na przechadzkę do lasu, wybierając ścieżki odludne, i unikając ludzi. Jedyną jego rozrywką były listy od żony, które co dnia odbierał i na które co dnia odpowiadał.

Te listy przenosiły go Warszawy, do tego miłego i ciepłego gniazdka, gdzie pozostawił żonę i dziecko, miłe, zwinne, jasnowłose, pięcioletnie dziewczątko, które obcując ciągle z rodzicami, rozwinęło się nad wiek swój pod względem serca i umysłu.

Dowiadywał się z tych listów o wszystkiem, co się tam działo.

Wiedział, że się Wandzia co dzień w zimnej wodzie kąpie i co dzień tatusia wspomina. Wiedział, ile kociąt urodziła kotka, kiedy zakwitła pierwsza róża chińska w saloniku, ile kosztowały nowe dziecka trzewiki, kiedy było pranie w domu, i kogo żona spotkała, wyszedłszy z Wandzią na przechadzkę.

Odczytywał po kilka razy dziennie te listy pełne drobnych, poufnych szczegółów i znajdywał zawsze, że są za krótkie, że mu za mało jeszcze mówią, tak bardzo tęsknił do domu, tak wielce ciężyła mu rozłąka z rodziną!

Więc też wyczekiwał z upragnieniem końca tej nieznośnej kuracji, która go tutaj więziła; zamykał się w swej tęsknocie i strzegł jej niby skarbu jakiego przed obcymi.

I tęskniąc, wybiegał myślą do swoich ukochanych, do tego skromnego mieszkania przy alejach Jerozolimskich, gdzie wszędzie było widać ład i dbałość gospodyni, gdzie kwiaty pielęgnowane jej ręką zdawały się oddychać błogością, gdzie każdy przedmiot uśmiechał się do niego jakiemś wspomnieniem.

Był to człowiek stworzony na domatora.

Ożenił się, minąwszy już czterdziestkę, lecz ożenił się z tą, którą kochał i która go kochała nawzajem.

Trudno było dobrać się lepiej!

Siedm lat już minęło od czasu, jak się pobrali, a miodowe miesiące trwały jeszcze. Nawet przyjście na świat dziecięcia nie przyćmiło ich uczucia, lecz owszem, nowej mu tylko dodało podniety.

Ta żona, to dziecko, ten dom, to był cały jego świat, zakreślający i wypełniający widnokrąg jego aż po brzegi. Po za nim wszystko mu było obojętnem i rad zamykał się w jego obrębie, jak gdyby się bał, by jakieś postronne wrażenie nie zamąciło mu tego szczęścia, którego całej pełni pragnął używać.

Co prawda, zbyt dobrze było mu tam, w domu, by mógł pożądać czegoś więcej jeszcze.

Mieli mieszkanko nie wielkie, ale wygodne i czyste. Nie było w niem nic takiego, coby wykwintem rwało oko... Ale zmysł estetyczny mieszkańców ujawniał się w tem skromnem urządzeniu, gdzie wszystko harmonizowało ze sobą.

Przytem to serdeczne ciepło, które go tam owiewało, gdy do domu wrócił, oderwawszy się od pracy w biurze — od tych długich kolumn cyfr, nad któremi ślęczał, będąc urzędnikiem jednego z krajowych finansowych zakładów — ten serdeczny uścisk żony, te słodkie dziecka pieszczoty!

Więc też spieszył do domu po skończonej pracy, codziennie z tem samem uczuciem radości i upragnienia.

Wiedział, że gdy pociśnie guzik od dzwonka, ozwie się radosny okrzyk Wandzi: „Tatuś, tatuś idzie!“ Wiedział, że potem usłyszy szelest kroków żony, śpieszącej ku niemu, by mu drzwi otworzyć. Wiedział, iż zobaczy te same serdeczne powitania. A jednak gdy o tem myślał, doznawał wzruszenia; to było wiecznie to samo, a jednak codzień tak pełne nowego uroku.

Można więc sobie wyobrazić, jak dalece go z tej sielanki wykoleiła konieczność leczenia się i wyjazdu do tych nudnych kąpiel; tęsknił biedak nie mogąc sobie znaleść miejsca, gdzieby mógł tęsknotę swoją ukoić.

Nieznośnem mu było towarzystwo, do którego nie umiałby się dostroić i ciężyła mu zarówno samotność, w której trawił się myślami własnemi, nie mogąc znaleść w mutku pociechy.

*

Jednakże czas płynął i coraz bardziej zbliżał się kres jego męki.

Już tylko trzy dni miał jeszcze w kąpielach zabawić; potem wróci do żony, do dziecka, do tego ciepłego gniazdka pełnego słońca i powietrza, gdzie zwykł tak błogo tak lekko oddychać!

Pokrzepiony tą myślą, wstał rano i pobiegł na pocztę, gdzie mu doręczono list w kopercie niezwykłych rozmiarów.

Rozerwał ją skwapliwie, rzucił okiem na wielki arkusz papieru dużemi zapisany literami i uśmiech szczerego zadowolenia przeleciał po jego twarzy. Domyślił się, że to była jedna z tych miłych niespodzianek, które mu zwykle robiła żona.

Spojrzał raz jeszcze na to pismo kreślone piórem po ołówku. Tu i ówdzie widać było zamazaną głoskę, tu i owdzie żyda na papierze. Widocznem było, że to matka list ten pisała pod dyktandem Wandzi i że potem kazała dziecku piórem wodzić po nakreślonych znakach.

Serce mu wezbrało radością, a myśl jego pobiegła do Warszawy; ujrzał swoją małą Wandzię siedzącą z piórem w ręku przy stoliku i stawiającą z wielką powagą kulawe litery na papierze.

— Jak się tam namęczyć musiało biedactwo — rozmyślał z uśmiechem. — A jak sobie łapki zawalała dziecina!

Wzruszony schował list do kieszeni, pobiegł do domu i usiadłszy przy stoliku, zaczął czytać:

„Tatusiu, mój drogi jedyny!

„Donoszę ci, że jestem zdrowa i grzeczna. Myję się co dnia zimną wodą, tak jak kazałeś i nie płaczę, dlatego, że ty tego nie lubisz.

„Strasznie mi tęskno za tatusiem. Mama pieści mnie jak zawsze, ale to za mało, i jak przyjdzie godzina, kiedyś ty z biura powracał, a ja się z tobą pieściłam, to nie wiem, co mam robić ze sobą... Bo mi się pieścić chce, a mamie się nieśmiem naprzykrzać.

„Wczoraj był u nas stryjcio na herbacie i wziął mnie na kolana tak jak ty i robił „hop hop na koniku,“ tak jak ty, ale to nie to, mój tatusiu! Ty robisz to daleko lepiej niż on.

„Kiedy mnie położą do łóżeczka, a mama wycałuje mnie na dobranoc, to myślę sobie, że mnie się jeszcze coś należy od ciebie, i płakać mnie się chce, że ciebie niema. Ale ty tego nie lubisz, więc nie płaczę i tylko główkę przyciskam do poduszki i mówię po cichu: „Mój ty tatusiu drogi jedyny, mój ty, mój złoty, mój!“

„A potem jak mi się już spać zachce bardzo, powiadam jeszcze: „Dobranoc tatusiu!“ i zamykam oczki, bo mi się zdaje, żeś mnie słyszał. Bądź zdrów tatusiu kochany, a wracaj do nas prędko, bo Dudusi strasznie za tobą żal!“

Pod spodem był dopisek skreślony ręką matki.

„Sama mnie to podyktowała i sama napisała po ołówku. Masz tu więc list od córki, która pisać nie umie. Jestto dowód, co może miłość i tęsknota.“

Niżej było kółko i krzyżyk. To był znak, że w tem miejscu złożyła pocałunek, który mu przesyła. Przycisnął usta gorące do papieru rozrzewniony, szczęśliwy! Zdawało mu się w tej chwili, że żonę i córkę tuli do łona.

— Trzeba jej koniecznie odpisać — pomyślał. — Osobny list do niej napiszę; to uszczęśliwi dziecinę!... Tak tak, napiszę do niej wierszami, ona tak lubi wierszyki!

Myśl ta ubawiła go wielce. Nie pisał nigdy wierszy w swojem życiu. Otóż piękne za nadobne! Skoro jego Dudusia mogła do niego list napisać, on jej rymami odpowie. Miłość dokaże tego cudu; miłość go zrobi poetą!

Uśmiechnął się uradowany i wziąwszy pióro do ręki, jął liczyć zgłoski i rymy układać; pierwsze dwa wiersze poszły mu dosyć składnie:

Dudulo moja, dzięki ci serdecznie,
Że w zimnej wodzie myjesz się tak grzecznie;

potem jednakże utknął. Chciał jej wyrazić, jak wielką mu sprawiła radość swoim listem, chciał jej powiedzieć, jak bardzo tęskni do niej i jak ją kocha gorąco, ale oporne rytmy i rymy nie naginały się do jego myśli. Byłby chciał, by każde słowo jego było pieszczotą.

Wreszcie po dość długich trudach, ułożył z jakie dziesięć wierszy, które mniej więcej odpowiadały temu, co można było powiedzieć pięcioletniemu dziecku i zakończył liścik ten słowami:

Za to, żeś mi pisała, ja teraz rymuję;
Widzisz, jakich to cudów miłość dokazuje.

Nie były to wcale cuda; owszem, wiersze były kulawe i on to czuł. Mimo to błogo mu było w myśli i jasno w duszy, tak jakby w majowy ranek. Zawinął list w kopertę, zaniósł go na pocztę, a potem zwrócił kroki swoje do lasu. Chciał jeszcze jakiś czas pozostać sam na sam z tem roszkosznem upojeniem, jakiego doznawał.

Za kilka dni wróci do domu, powitany uściskiem serdecznym żony i pieszczotami dziecicia. Po drodze kupi dla obojga jakiś upominek, żonie ładną parasolkę, a córeczce lalkę dużą z prawdziwemi włosami i ruchomemi oczyma. Co to będzie za radość, co za uciecha!

I będzie znowu chodził do biura codzień, i powracał do domu wzruszony oczekiwaniem tego szczęścia, które go tam czeka. Mieszkanko jego tak miłem jest, tak jasnem, że go zmieniać wcale nie pragnie. Można tam żyć długie, długie lata i doczekać się późnej starości, tak późnej, że śmierć przyszedłszy, zdmuchnie życie jego bez boleści, bez cierpienia, będąc niejako tylko dalszym ciągiem jakiegoś rozkosznego snu... Dudusia będzie zawsze tam, koło niego, rozweselając go swoim dziecinnym szczebiotem...

Tutaj zmieszały się barwy i linje odrazu, który malowała mu wyobraźnia. Dudusia nie będzie zawsze małą Dudusią, lecz wyrośnie i wyciągnie ramiona do świata, do życia, tak jak kwiat, który do słońca kielich swój rozchyla...

Serce jej otworzy się innym uczuciom, które przyćmią może i zastąpią miłość, jaką czuje teraz dla rodziców. Przyjdzie jakiś obcy, nieznany człowiek. który zabierze ją ze sobą.. Ona pójdzie z nim szczęśliwa, nie myśląc nawet o tem, jaką próżnię za sobą w domu ojca zostawi.

Myśl ta zaciężyła mu na mózgu nieznośnem brzemieniem i zamąciła pogodę jego umysłu. Wodził okiem po kwiatach, które tam rosły wzdłuż drogi; niektóre z nich więdły, chyląc ku ziemi powarzone liście. A jednak i one także siały woń dokoła, i one także miały chwilę szczęścia i rozkwitu!

— Jakże kruchem, jak marnem jest wszystko na ziemi! — pomyślał. — Wartoż kochać, wartoż się przywiązywać, skoro wszystko mija tak jak sen, który odchodzi? Nie jest-że wszyskto tylko złudzeniem, po za którem kryje się rzeczywistość, bedąca tylko marnością i utrapieniem ducha?...

— Tak, z pewnością! — dodał po chwili namysłu. — Ale gdyby tych złudzeń nie było, czyż możliwą byłaby uciecha, jakiej doznajemy? Czyż w sercu naszem mogłyby rozkwitać uczucia, które nas błogością napełniają bez miary? A więc dziękujmy losowi, gdy nas szczęściem darzy, nie myśląc o tem, jak ono kruchem jest i znikomem; cieszmy się niem tak, jak gdyby wiekuistem było. Mniejsza o to, że potem pryśnie bańka mydlana, która nas zachwyca. To, cośmy w upojeniu doznali rozkoszy, tego nam już żadna moc nie odbierze!... *Wł. Zagórski.*

Czy znajdzie?

Oddawna pacholę przemyśliwało nad tem, jakby się dostać do skrzyni kryjącej w sobie skarb wielki. Skarb ów zwał się prawda, a nikt nie widział nawet, jak on wygląda. Może dla tego właśnie łaknęło go pacholę tak gorąco.

Skrzynia była okuta żelaznemi obręczami; prócz tego misterny zamek bronił przystępu do jej wnętrza. Wszelkie usiłowania, aby klucz do niego dorobić, rozwiewały się w niwec. Nawet najkosztowniejsze witrychy były bezsilne wobec tego zamku.

— Znam kilka wróżek i kilka czarodziejów — pomyślało chłopię może oni znajdą radę.

Najbliżej mieszkała czarownica, której na imię było Siła. Uznawano ją jako najstarszą wiekiem i najpotężniejszą z wszystkich wróżek. Miała ona gród warowny z samego zbudowany żelaza, a w nim warstat rozmaitych narzędzi. Tu zbroje błyszczały rozliczne i grozą przejmowały widza tortury, zastosowywane zwłaszcza przeciw sprawiedliwości. Ta bowiem była jarzmioną od siły i srogie przechodziła męczarnie, zginąć jednak nie mogła.

Królowa żelaznego grodu, wypytawszy pacholę, o co mu idzie, wydobyła młot wielki.

— Mam zadzieję, rzekła. Gdzie kluczowi zamek stawia opór, tam trudno o coś lepszego.

Chwalba jej jednak okazała się przedwczesna. Młot pękł na dwoje, a zamek pozostał nietknięty.

Poszło tedy pacholę do innej wróżki. Ta znowu zwała się Miłość. Wśród cienistych lasów i gajów wiecznie zielonych stał jej namiot. Powietrze woniało tu mnóstwem zapachów, a rozkoszny śpiew ptaszęcy upajał ucho. Miłość sama była prześliczną. Jej oczy ciskały blask przejmujący, jej usta opływały słodyczą, a jej ramiona rozwierały się ciągle do słodkiego uścisku.

Wypytawszy pacholę, o co mu idzie, miłość dała mu w złote naczynie nieco żaru.

— Rozniecć nim, rzekła, płomień przed zamkiem skrzyni, a zobaczysz, że on albo prysnie, albo stopnieje.

I jej chwalba jednak była przedwczesna. Żar wygasł, a zamek pozostał nietknięty.

Wówczas pacholę wybrało się do wróżki zwanej Wiedzą. Schron jej znajdował się na szczycie niebotycznej. skały. Świat jak szeroki i długi widać było ztamtąd, ni to na dłoni. Co szczególniejsze—to, że nietylko wody i lądy snadnie mogłeś ujrzeć ze szczytu zajętego przez Wiedzę lecz także wszystko, co w nich spoczywało lub żyło, przedstawiało się całkiem dokładnie oku ludzkiemu.

Wypytawszy pacholę, o co mu idzie, Wiedza rzekła: — Nic łatwiejszego. Ja klucz dorobię do niezłomnego zamku, z którym ani Miłość, ani Siła rady dać sobie nie mogły. Wybadam gwiazdy i słońce, ludzi i zwierzęta, rośliny i głazy, a one mi wydadzą tajemnicę, na podstawie której wszystko da się zrobić.

Pacholę odeszło w jak najlepszej nadziei. Gdy jednak po pewnym czasie przyszło powtórnie, klucz nie był jeszcze zrobiony. Trzecim, czwartym, dziesiątym; setnym razem — zawsze otrzymywało pacholę jedną i tę samą odpowiedź: „Badania robią się, ale ich cel jeszcze nie osiągnięty“.

. . . .

Pacholę zwane Ludzkością czeka i czeka na ów kunsztyk wiedzy. Czy w ogóle kiedykolwiek doczeka się klucza do zamku, który strzeże skrzynki i skarbu prawdy spoczywającej tam na dnie?

Ester.